

SYGURD WIŚNIEWSKI

NIEWIDZIALNY



FIKCJE I FAKTY 07 1984

H. G. Wells - jeden z klasyków fantastyki naukowej - zdobył rozgłos znanym i w Polsce opowiadaniem „Niewidzialny człowiek”, opublikowanym w 1897 roku. Prezentowane tu opowiadanie „Niewidzialny” Sygurda Wiśniowskiego, napisane w 1881 r. - a więc na szesnaście lat przed ukazaniem się „Niewidzialnego człowieka” Wellsa - i oparte na tym samym pomysle i tej samej zasadzie, najdobitniej zaprzecza rozpowszechnionemu przekonaniu o wtórności polskiej twórczości gatunku science-fiction.

Pewnej ciemnej, mglistej nocy zimowej śpieszyłem do hotelu „Zur Stadt Triest”, na przedmieściu Wiednia, gdzie się podczas dość długiego pobytu w stolicy rakuskiej zakwaterowałem.

Dla skrócenia drogi puściłem się pewną wąską, krętą, dziwną uliczką, znaną ledwie z imienia rodakom w Wiedniu stale przebywającym. Ja go nie pamiętam - jest to nieczyste, ciemne przejście między wyniosłymi kamienicami. Żadne okno na ten zaułek nie wychodzi. Jedyna w nim latarnia, nawet w pogodnej nocy nie oświetlająca go należycie, nie była w stanie przeniknąć mgły grubej, lepkiej.

Północ już uderzyła...

Mimowolnie przyspieszyłem kroku oglądając się i nasłuchując trwożliwie, czy jakie liche indywiduum za mną się nie skrada.

Tak zajęty skarambolowałem z człowiekiem w przeciwnym kierunku dążącym. Mówiłem, co mnie z impetem potracił, musiał mnie prawie dotykać, oddech jego słyszałem, a przecież go nie widziałem...

Pomimo tego stworzyłem sobie z pewnych faktów dość wyraźnie wyobrazenie tego jegomości: zdawało mi się, że mógłbym go poznać, gdybym go później w dzień biały spotkał.

I tak, mógłbym się być założyć, że był silniej ode mnie zbudowany, mocniej na swych nogach ugruntowany, pewnie barczysty, a może i cokolwiek otyły, bo omal mnie nie obalił swą siłą i wagą. Był też o kilka cali niższy, gdyż policzek mój uderzył o kresę jego twardego, jedwabnego kapelusza. Zdawało mi się również, iż był rodakiem, bo zaraz po zetknięciu się ze mną, sądząc, iż o cudzoziemca zaczepił, mruknął po polsku niepobożne życzenie, ażeby mój kark skręcił. Był jednak człowiekiem dobrze wychowanym i nie śpieszyło mu się jakoś, bo zamiast pójść sobie dalej, podał mi grzecznie parasol wytrącony z mej ręki w chwili uderzenia. Musiał się tedy schylić, parasol podjąć i rękę moją widzieć. Z tonu jego głosu poznałem w nim dalej dojrzałego mężczyznę.

Wciągnąwszy tyle szczegółów na niewidziane, próbowałem przeniknąć zmrok okiem i więcej informacji o nieznanym otrzymać, ale - rzecz dziwna - widziałem przed sobą tylko grubą, namacalną prawie mgłę szarą, cokolwiek blaskiem dalekiej latarni zarumienioną. Nie słyszałem też kroku ludzkiego. Nieznajomy musiał już pójść sobie, a będąc w kaloszach, robił tyle szelestu, ile by wydawał kot skradający się za myszą...

Była to cisza zadziwiająca. Owładnięty uczuciem ciekawości i rodzajem trwogi, zawróciłem umyślnie i próbowałem ścigać nieznanego do najbliższej latarni, pod którą przypatrzyć mu się bliżej miałem nadzieję. Dziwna rzecz, ale prawdziwa! Chociaż szedłem bardzo prędko ani go nie dopędziłem, ani nie minąłem, a stanąwszy pod latarnią, gdzie zaułek z szeroką, dość jeszcze żywą i jasną ulicą się stykał, nie widziałem nigdzie szukanego indywiduum.

Zdawało mi się jednak, że tuż za mną ktoś do zamkniętej bramy kamienicznej zadzwonił. Zaraz potem otworzyła się furtka. Stróż stojący w niej mruczał do siebie niezadowolony i

oglądał się dokoła zadziwionym okiem. Widziałem go wyraźnie w blasku świecy, którą w rękę trzymał, chroniąc ją drugą ręką od wiatru. Nikt go nie minął.

Nikt w moich oczach do kamienicy nie wszedł, ale przecież nie miałem się oprzeć podejrzeniu, że rodak, co mnie potrafił, wpadł do tego domu i uniknąwszy oczu stróża jakimś sposobem, może żeby mu zwykłego wiedeńskiego honorarium za otwarcie bramy w późnej porze nie zapłacić, w sieni zniknął i na górę sobie pomaszerował.

Byłem do tego stopnia tym mistycznym wypadkiem zaintrygowany, że dopadłszy stróża, całą dwudziestówkę do otwartej jego łapy wcisnąłem.

Cerber kamieniczny kiwał głową zadowolony.

- Kto tu wszedł? - zapytałem.

- A nikt.

- Ależ ktoś dzwonił.

- A dzwonił.

- Któż to był?

- I ja bym chciał wiedzieć, kto to był - odrzecz stróż z miną kwaśną, a po chwili dodał:
- Pewnie jakiś ulicznik, co sobie chciał ze mnie zażartować, a potem uciekł. To mi się już nie pierwszy raz i nie drugi trafia. Poczekaj, ptaszku, złapię cię kiedyś!

Jeszcze żywiej niż dawniej rozciekawiony spytałem go o numer domu, udzielił pożądanej informacji bez wahania, potem mi dobrej nocy z wiedeńską grzecznością życzył i furtkę zamknął z trzaskiem.

Stałem długo pod tą ponurą, wysoką kamienicą, zatopiony w rozmaitych domysłach i mechanicznie tak często jej numer powtarzając, że mi się na zawsze w pamięci wpoił. Czułem w sobie rodzaj grozy, jaka zawsze człowieka przenika, gdy się widzi bezsilnym wobec zjawiska, którego sobie żadną drogą rozumowania wytłumaczyć nie umie. Mruczałem mądre słowa angielskiego wieszczka o cudach na niebie i na ziemi, o których się filozofom nie śniło. W końcu musiałem przerwać moje dumanie usłyszawszy mierzony krok strażnika miejskiego. Dozorca nocnego porządku byłby mnie mógł o chęć zbrodniczego zamachu na całość i bezpieczeństwo kramów w kamienicy zawartych podejrzewać, gdyby mnie był zobaczył stojącego tak długo pod nią. Ruszyłem więc szybko do hotelu, żeby nie wpaść z nim w kolizję...

Dom opisany starożytnej powierzchowności, wielki *Zinshaus* * wiedeński, do niedalekich, przy Ringu ** stojących pałaców niepodobny, dom ów, powtarzam, którego dzwonek niewidzialne ręce targały i o którym mógłbym przysiąc, że doń osoby niewidzialne wchodziły, stał się w kilka dni po opisanym powyżej zajściu nocnym częstym celem moich wizyt, z powodu zresztą naturalnego.

Pokazało się bowiem, że w nim od dłuższego czasu przemieszkiwał pewien mój powinowaty. Pokrewieństwo między mną a tym panem było dokładnie dziesiątą wodą po kisielu. Kiedyś tam, w przeszłości, którą w tradycjach rodzinnych zmrok okrywał, wyszła pewna wojszczanka trembowelska, prababki mojej cioteczna-rodzona, za kasztelana, obdarzonego ze zmianą rządów tytułem hrabiowskim, Dalsze pokolenia licznie rozgałęzionej drobnoszlacheckiej rodziny nigdy tej świetnej koligacji nie zapomniawszy wbijały ją w pamięć znajomym i przyjaciółom przy każdej odpowiedniej i nie pasującej sposobności. Z drugiej strony zaś raczyli niekiedy jaśnie wielmożni kuzyni przypominać sobie nas pokornych, trzymających do chrztu potomstwo skromnych kuzynów i obdarzając chrzestnych pięknymi krzyżami ***. Pomnę, jak liczne ciocie wmawiały mi, iż w razie wygaśnięcia świetnego rodu hrabiów Opalińskich na Opałach i przyległościach należałbym do stu kilkudziesięciu pretendentów o sukcesję obszernego, czystego klucza w najpiękniejszej glebie podolskiej - ostateczność według nich dość prawdopodobna, albowiem właściciel Opałów był kawalerem niemłodym i

* *das Zinshaus* (niem.) - dom czynszowy.

** *der Ring* (niem.) - rynek.

*** krzyżmo - koszulka ofiarowywana dziecku przez rodziców chrzestnych.

chęci do żeniaczki nie okazywał. Na rachunek tej sukcesji powtarzałem parę klas gimnazjalnych i nie czułem ochoty przygotowywania się do egzaminu dojrzałości, ale gdy jaśnie wielmożny kuzyn w pięćdziesiątym roku życia w śluby małżeńskie wstąpił i nadzieją potomka się cieszył, rozwiawszy boleśnie moje marzenia złote, musiałem przesiedzieć fałdów, egzaminy pozdawać i mozolną drogą pracować na chleb powszedni. Przyznam się wszakże, że tak na dnie mojego serca, jak też serc licznych moich kuzynów zawsze jeszcze słaba iskra nadziei sukcesyjnej się tliła.

- Kto wie-powtarzały ciocie nieraz - czy koniec końców nie dostaniecie Opałów z przyległościami?

- Hrabia owdowiał wkrótce po ożenieniu - mówiła jedna.

- I ma tylko jedynaczkę - dodała druga - istotę bardzo delikatną, a nie daj Boże jej śmierci...

Twarze zebranego grona kuzynów i kuzynek rozpromieniły się na te słowa, zdawało się bowiem wszystkim, że akcje spółki naszej sukcesyjnej o sto procent podskoczyły.

- Ej, nie tumaniałyś ich siostrzyczko - wtrącił pokaszlując wujaszek, sekretarz szlacheckiego sądu w S., tetryk i cynik wielki, lubiący zasepiać i kwasić swe otoczenie, chodząca kronika genealogiczna i herbarz rycerski nie tylko własnej, lecz stu innych rodzin.

- Nie ostrzcie pazurów na żadne durniczki *. Ród Opalińskich z Bnin i Opałów nie wymrze dla dogodzenia wam. Stare to drzewo. Kromer już o nim pisał. Stare, ale jare i wydało mężów zasłużonych Rzeczypospolitej.

Umiało się też do nowego porządku nachylić, więc będzie kwitło w dalekie wieki. Państwo zdajecie się zapominać, że młody brat hrabiego, co się ekspatriował i mieszkał za granicą Bóg wie po jakimu i syna Bóg wie po jakimu wychowując, przecież bezpotomnie nie zszedł ze świata, ale spadkobiercę zostawił. Ten spadkobierca wziął Bnińszczyznę i dostałyby Opały w razie śmierci kuzynki. Skądże wam do sukcesji, kiedy jest rodzony bratanek, o córce nie mówiąc?

Nosy nasze po słowach tych spadły na kwintę. Odtąd nigdy już o żadnej sukcesji hrabiowskiej nie roiłem i tylko czasem próbowałem sobie mego szlacheckiego dumnego krewnego wyobrazić, otoczonego pańskim iście splendorem. Wypadek niespodziewany przekonał mnie raz, iż powzięte o nim wyobrażenie było jak najmylniejsze. Ni stąd, ni zowąd spotkałem się z nim i poznałem go u stóp Wezuwiusza. A było to tak:

Człowiek sześćdziesięcioletni przeszło, rumiany i barczysty, oganiający się grubą sękatą laską bambusową od pompejańskich cyceronów, a rozmawiający po polsku z dziewczyną i dorostkiem, przy których szli jacyś cudzoziemcy (jak się później dowiedziałem, był to guwerner i guwernantka), zwrócił na się pięknego poranku włoskiego moją uwagę.

Magnetyzm zbliżający włóczków polskich za granicą ułatwił mi pierwszą znajomość z tym ciekawym typem „wojażującego szlachcica”. Poznałem w nim z niewymowną radością arystokratycznego powinowatego. Przycisnął mnie do serca. Przedstawił córce swej Prozi, czyli Prozerpinie (jak też można było ochrzcić hoże polskie dziewczę tym pogańskim imieniem), podlotkowi o dużych siwych źrenicach i bladej słodkiej twarzy. Z kolei poznałem się też z jego bratankiem, hr. Zbigniewem, młodszym ode mnie o dziesięć lat, cichym młodzieńcem, którego oczy zawsze się zdawały w daleką nicość spoglądać, jeżeli nie były obrócone sympatycznie... na młodziutką kuzynkę. Widać było, że bratanek był nie mniej drogi hrabiemu jak własna córka. Młodzi przyjęli mnie tak ciepło i serdecznie, jak sam hrabia.

Spędziłem kilka bardzo przyjemnych dni z nowo poznanymi krewnymi, używając ich wspaniałej gościnności w hotelu przy Chiaja, ciesząc się z młodymi, a lepiej jeszcze bawiąc się ekscentrycznością głowy rodziny, którego polską mową toczone potyczki z Włochami w obronie swej hrabiowskiej kieszeni sto pociech mi sprawiały. Po rozmaitych współczesnych

* durniczka - rzecz, która się darmo komuś dostała, gratka.

wycieczkach w cudne okolice pożegnałem ich, wyjeżdżając parowcem do Palermo. Było to w środku spiekłego lata, ale służący hrabiego dźwigał za nim na okręt... olbrzymie niedźwiedzie, bez których jasny pan nigdzie nie wojażował. Wiele też razy o hrabi pomyślę, widzę go w ogromnym futrze w lecie, pod neapolitańskim słońcem!

Lotne lata minęły od tego spotkania. Już zapomniałem, iż miałem na świecie krewnych tak majątnych i utytułowanych, jak hr. Opalińscy. Snadź oni mnie lepiej pamiętali, bo mieszkając w Wiedniu i usłyszawszy przypadkiem o moim w tym mieście pobycie hrabia przysłał łaskawie do hotelu grzeczny bilet, w którym przeprosił mnie, iż z powodu podagry nie mógł mi pierwszej wizyty złożyć, do siebie mnie jak najuprzejmiej zaprosił „w dowód pamięci dla moich rodziców, których kochał i poważał, jako też dla odnowienia czule wspomnianej neapolitańskiej znajomości”. Mieszkał stale w Wiedniu - jak sam dodał ażeby być bliżej lekarzy specjalistów. „Dom mój jest dla kuzyna w każdej porze otwarty...”

Był to, jak wspominałem, ten sam wielki stary dom, pamiętny mi od nocnej awantury, trzypiętrowy, z bramą olbrzymią, dziedzińcem szerokim i licznymi schodami. Do hrabiego szło się pierwszymi schodami, mieszkał bowiem od frontu na pierwszym piętrze, z wystawą godną pana na czystych Opałach, w których było kilkanaście folwarków i dziesięć tysięcy morgów obszaru. Chociaż pomieszkowanie miał piękne, salony pyszne, szlachetny kuzyn nikogo nie przyjmował, co sobie jego wiekiem podeszłym, podagrą i delikatnym zdrowiem kuzynki Prozerpiny z początku tłumaczyli. Pomału zaczynałem podejrzewać, że jeszcze inne jakieś, skryte powody, których szukać ni prawa, ani śmiałości nie miałem, także ich do unikania świata skłaniały. Łatwo było zmiarkować, że takie życie pustelnicze nie smakowało hrabiemu, był bowiem z natury gadułą towarzyskim. Wiele razy zaszedłem doń, zatrzymywał mnie godzinami, utyskując często bez logiki i zdrowego sensu na nowoczesne zepsucie i szaleństwo. Dawałem się mu dręczyć cierpliwie, bo koniec końców serce miał złote, a... towarzystwo kuzynki stało się pożądanym.

Hrabianka była piękną i dystyngowaną. Że była kobietą dumną, zimną i wyrachowaną, słyszałem od krewnych, co ją bliżej znali... W tej chwili nie mogłem jednak tego dostrzec, gdyż cierpienie moralne lub fizyczne złamało jej hardość i zalotność.

Domyślałem się przyczyny jej smutku. Jedna z kuzynek pisała nieraz o nieszczęściu, jakie się rzekomo hrabiance wydarzyło. Kuzyn jej, zdaniem rodziny, partia pod każdym względem dla niej wyborna, właściciel Bnia, w młodszej gałęzi Opalińskich dzierzzonego, miał się w niej kochać szalenie. Świat sądził, że była mu wzajemna i że ojciec jej z początku sam ich mariaż układał. Dlaczego Zbigniew w końcu dostał kosza? Dlaczego stary hrabia był przeciwnym jego aspiracjom, ona zaś lekceważyła jego uczucie? Wszak był młody, przystojny, prawie wychowany na jej męża. Prawda, że Bnin był obdłużony niepomiernie, ale co to mogło szkodzić hrabiemu, który córce najmniej okrągły milion przeznaczył. Czarna polewka konkurentowi w takich warunkach podana intrygowała tedy rodzinę...

- Boże mój, kto też zrozumie grymasy takich wielkich panów! - szeptały cicie jedna do drugiej.

- W tym wypadku ja rozumiem wszystko! - zawołał wujaszek sekretarz. - Hrabia Zbigniew wydał się im śmiesznym ze swą erudycją, cudzoziemskim wychowaniem, zamiłowaniem w książkach przyrodniczych. Zamiast palić koperczaki do panny, siadywał pod piecem i wzdychał do niej opowiadając o drogich swoich przyjaciółach zagórskich, zatabaczonych doktorach i profesorach lub zanudzonych wynalazcach telefonów, fonografów itp. głupich pomysłach. Więc też go nie chcieli...

Wkrótce potem zdarzył się wypadek, którego i mądry wuj nie zrozumiał. Zbigniew znikł. Że nie umarł, wolno było z tego wnosić, iż majątek jego był przez plenipotentów administrowany, ale świat podejrzewał, że dostał pomieszania zmysłów i w jednym z doskonałych zakładów dla obłąkanych siedział. Prozia tymczasem, jakby się na starą pannę kierowała, przestała bywać w towarzystwach, a jej ojciec wszelkich przyjęć zaniechał.

Moje wiadomości o tajemnicach rodziny świetnego rodu Opalińskich nie sięgały poza wyżej streszczone plotki listowne. Nie mogłem i nie próbowałem się więcej od hrabiego i Prozerpiny dowiedzieć. Wiedziałem tylko, że jej twarz nie rozjaśniła się nigdy uśmiechem. Żeby jej dogodzić, zerwał ojciec stosunki ze światem. Melancholia gnębiąca ją przebijała się w oczach, ruchach i mowie. Nawet hrabia, człek natury sangwinicznej i jowialnej, także czasem nie umiał utrzymać na twarzy owej maski wymuszonego wesela, którą swój smutek przed światem zakrywał. Były chwile, w których się rozglądał dzikim wzrokiem po pokoju pustym i bladł, i truchłał, i w milczeniu składał ręce jak do modlitwy...

Jeszcze jedna dziwna okoliczność dużo mi do myślenia dawała. Mając sporo wspomnień z licznych podróży i wystaw powszechnych, zamiłowany w badaniu najnowszych hipotez naukowych, próbowałem kilka razy swoją erudycją przed krewnym się popisać, ale prędko tego zaniechałem, po każdej bowiem wzmiance tego rodzaju ukazywały się łzy w dużych, jasnych oczach Prozerpiny, a hrabia czerwienił się i bladł ze złości. Słowa „nauka”, „eksperyment”, „wynalazek”, „postęp wiedzy” itd. sprawiały na nim takie wrażenie, jakie widok pąsowej kołdry wywiera na byku. Raz wygłosił nawet otwarcie, że wszyscy wynalazcy i uczeni są albo szaleńcami, albo niegodziwcami, których nazwiska uczciwym ludziom powtarzać się nie godzi. Odtąd też nigdy takich nazwisk nie wspominałem w ich domu...

Pewnego wieczora zabawiłem u szlachetnych krewnych dłużej niż zwykle.

Prozia grała rozmarzające nokturny. Rozmowa przybrała charakter poufaty. Z niechęcia wygadałem się o dziwnym nocnym wypadku, jakiego pod ich kamienicą byłem świadkiem. Myślałem, że się bardzo zdziwią. Gdzież tam! Wysłuchali mnie uważnie, mieniając podczas mego opowiadania wymowne spojrzenia, lecz zdziwienia nie okazując najmniejszego. Gdy skończyłem, hrabia spuścił na pierś głowę zasepioną, a Prozerpina trzymała twarz w cieniu i przyłożyła potajemnie chustkę do oczu. Nikt nie wyraził wątplenia w moją nadzwyczajną opowieść.

Ona odprowadziła mnie wychodzącego aż do przedpokoju, a podając rękę na dobranoc rzekła:

- Historia kuzynka bardzo mnie zainteresowała. Ja bym także mogła opisać rozmaite zadziwiające wypadki, których byłem świadkiem i w tym domu, i w każdym innym, gdzieś tylko od czasu zniknięcia Zbigniewa przebywali. Jesteśmy wygnańcami z własnego majątku i dworu skutkiem prześladowającego nas strasznego nieszczęścia. Zdrowie moje cierpi nad opis wszelki. Drzę o życie papy, wciąż trute strasznymi fenomenami. Krzyż jego cięższy od mego, bo ja się w części domyślam powodu naszego nieszczęścia, ale on nic a nic nie dorozumiewa i byłoby mu bardzo trudno pojąć i uwierzyć, iżby się coś podobnego dziać mogło drogą naturalną. Łatwiej by pewno w cud nadprzyrodzony uwierzył! Mnie, przeciwnie, przeszłość smutna kilka promyków dostarcza do rozjaśnienia ciemnych, zawiłych zjawisk powtarzających się naokoło nas, ale i ja wszystkiego nie rozumiem. Chciałam więc dawno prosić kuzynka, żebyś mi pomógł całą rzecz zbadać do dna samego. Przyjdź pojutrze, po południu, kiedy papa śpi, a powiem, w czym nam służyć możesz.

Po tych słowach życzyła mi dobrej nocy i westchnęła...

Czy ściany odbiły echo tego westchnienia, czy też doprawdy inne, z niewiadomej jakiejś piersi się wydzierające łkanie usłyszałem?

Schodziłem zamyślony po szerokich, kamiennych, jasnych schodach, na których, moim zdaniem, żywej duszy nie było. Znajdowałem się właśnie na ich skręcie, kiedy uczułem na ramieniu ciężką męską rękę... Obróciłem się. Nie widziałem nikogo, nie słyszałem ani kroku, ani oddechu ludzkiego, ale ręka niewidzialnego wciąż mnie gniotła... Kolana dygotały pode mną. Włosy powstawały na głowie. Skrop oblała się potem. Omal nie runąłem na zimne, twarde kamienia. Ta sama silna ręka, co mnie zatrzymała przed chwilą, nie pozwoliła mi teraz upaść... Odzyskawszy nieco przytomności i odwagi stałem niemy, straciwszy zwykły spokój

mój i niedowiarczą filozofię, z której zawsze byłem dumny.

Duch czy upiór pociągnął mnie łagodnie za rękaw. Podążyłem za nim mechanicznie na dół przez sień, przez podwórze, po schodach, nad którymi stało na tablicy „// Stiege” *, przez długi, niezbyt jasny korytarz trzeciego piętra. Była to przechadzka przerażająca. Mineliśmy kilka płomieni gazowych, pod którymi było widno jak w dzień, ale nie widziałem nikogo. Raz zamrużyłem oczy, a potem je prędko otworzyłem, próbując w ten sposób schwytać w powietrzu bezbarwnym zarys figury, co mnie za sobą ciągnęła. Przebóg, nic nie ujrzałem!!! Drugi raz znowu uczułem pokusę wyrwania rękawa z ręki powietrznej, ale strach nie pozwolił mi tego uczynić.

Tymczasem szliśmy na górę... Słyszałem skrzypienie schodów pod ciężkimi, filcem podobno odzianymi nogami niewidzialnymi. Takt ich kociego kroku szeleścił rytmicznie ze stukiem moich obcasów. Na ostatnich schodach, po których już szedłem zadyszany, wyraźnie sapał także straszny przewodnik. Wyciągnąwszy rękę uczułem miękką, sukienną - jedwabną materię podszytą - połą niewidzialnego długiego surduta...

Wszystkie zmysły tedy, prócz jednego, upewniały mnie złężnionego, że mam do czynienia z istotą materialną, obdarzoną właściwościami przedmiotów ziemskich,, jako to: ciężkością, nieprzenikliwością, biernością materii itd. Rozum skłaniał się do przypuszczenia, że jestem wobec żywego człowieka, ale jak tu przyjąć jego hipotezę, jak uwierzyć w świadectwo innych zmysłów, gdy zmysł najszlachetniejszy, którego wrażenia najpewniejszymi się w zwykłych wypadkach wydają, istnieniu tego człowieka kłam zadawał? Co myśleć?

W końcu długiego korytarza, cudownym sposobem, bez pomocy ludzkiej, drzwi się przede mną otworzyły, a niewidzialna ręka wciągnęła mnie do obszernego przedpokoju...

Stałem przed purpurową firanką jedwabną, która usunęła się czarodziejskim sposobem bez ludzkiej pomocy i odkryła salonik elegancki, pełen sprzętów wygodnych i poważnych przedmiotów. Były tam głębokie, miękkie fotele, dywany, w których stopy tonęły, i obrazy cenne, ale zamiast tysiąca kosztownych *petits riens* ** zapelniających apartamenty bogatych ludzi gustem obdarzonych, zobaczyłem wzdłuż ścian czarne dębowe szafy artystycznie rzeźbione, pełne książek. Na gotyckich szczytach tych szaf stały szeregi okazów przyrodniczych i anatomicznych, tak że salon zawierał zarazem bibliotekę i muzeum. Podwoje na lewo otwierały się do wykwintnej sypialni. Przez uchylone drzwi na prawo wypływała woń aptekom albo laboratorium chemicznym właściwa. W całym mieszkaniu nie było nic niezemskiego lub szarlatańskiego. Wszystko, co widziałem, było użyteczne i potrzebne dla istoty z krwi i kości, tak w komforcie, jak w naukowych zajęciach zamiłowanej...

Umysł mój chłonał z trwogi i przestał wierzyć, że jest igraszką albo złudzenia, albo nadprzyrodzonego zjawiska. Wszystko, co się działo naokoło mnie, dałoby się zapewne naturalnymi przyczynami wytłumaczyć, gdybym tylko posiadał klucz lub pierwszą wskazówkę do zagadki. Niewidzialny właściciel mieszkania przyjmował mnie z etykietą dobrze wychowanego człowieka. Uspokojony, przypatrywałem się ciekawie martwym przedmiotom posuwającym się po izbie, jak gdyby były istotami żywymi, świadomymi.

Najpierw ruszył z kąta fotel niski, wygodny i przytoczył się sam do stoliczka pod jednym z okien. Potem zbliżył się do tegoż stoliczka szezlong stanął sobie naprzeciwko fotela, o krok od niego. Puszka srebrna z tytoniem przeniosła się powietrzem z środkowego stołu, leżąc trzy lub cztery stopy nad posadzką, na stoliczek wymieniony. Za nią zdążyły papierki do robienia cygaret, naczynia z cygarami hawajskimi i zapalki. Jedna z szaf bibliotecznych sama się otworzyła, wyskoczył z niej gruby tom popłynąwszy wysoko, także na stoliczku się rozłożył. Niewidzialna ręka pociągnęła mnie jeszcze raz do fotela, na którym usiadłszy rzuciłem okiem na tytuł książki na stoliku. Przeczytałem słowa następujące:

* die Stiege (niem.) - schody.

** petits riens (fr.) - drobiazgi.

*„Handbuch der Gewebelehre” bei * Dr Otto v. Kümmelspalter.*

Po nazwisku autora następował długi szereg tytułów upewniających, że mądry dr v. Kümmelspalter był profesorem pewnego uniwersytetu i członkiem wielu uczonych towarzystw tak krajowych, jak zagranicznych. Ledwie skończyłem czytanie tytułu, zaraz się księga na pewną stronę otworzyła. Ślady palców na tej stronie i zapiski ołówkiem na jej marginesie powiadały, że ją wielokrotnie czytano i rozbierano.

- Zapal cygaro albo ukręć sobie papierosa i nie lękaj się - rzekł głos ust niewidzialnych, oddalonych o dwa łokcie od mego ucha...

Dźwięk tego głosu nie był mi obcy. Poznałem w nim ton, którym mi owej nocy niewidomy przeciwnik życzył żebym „kark skręcił”. Przypomniałem sobie także inny dźwięk, młodszy, bardziej muzykalny, ale ten sam, którego się nasłuchiwałem podczas spacerów po Chiaja neapolitańskiej i wycieczki do Błękitnej Groty.

- Zgoła się nie lękam - odpowiedziałem gadającemu powietrzu - bo chociaż sam żadnej specjalnej gałęzi wiedzy nie uprawiam, jestem przecież przekonany, że nie ma zjawiska, którego by przyrodzonymi przyczynami wytłumaczyć nie można. Niestety, te przyczyny są nam często niejasne, ukryte! I teraz nic a nic nie rozumiem, ale mów pan, a będę słuchał uważnie, bez obawy.

- Tym lepiej... Widzę, że mam do czynienia z człowiekiem rozsądnym. Jako kuzyn rodziny i przyjaciel hrabiego i Prozi...

- Przepraszam, zanim pozwolę nazwisko kobiety w tok rozmowy wprowadzić, muszę pana zapytać, z kim mam zaszczyt rozmawiać?

- Jak to? nie domyślałeś się, kuzynie?- zawołał głos.

- Zbigniew?

- A jużci. Twój krewny nieszczęśliwy i miłujący. Czy wolno cię uściskać?

Skinąłem głową. Zaraz też uczułem parę niewidzialnych ramion naokoło szyi. Na twarzy spoczął pocałunek z dubeltówki i łza niewidzialna, ale ciepła.

- Tak! - stęknął kuzynek opuściwszy mnie i przemawiając głosem przenikającym serce.

- Tak, byłem niegdyś Zbigniewem, ale niech mnie licho porwie, jeśli wiem, czym teraz jestem! Moja dzisiejsza identyczność jest równą tajemnicą dla mnie samego jak dla całego świata. Wiem tylko, że serce moje i zasady nie zmienione. Masz jak dawniej do czynienia z człowiekiem uczciwym, pełnym dla ciebie miłości.

Po chwili milczenia poprosił mnie ów człowiek bez widomego ciała, żebym w księdze na stole pewien ustęp błękitnym ołówkiem zakreślony uważnie przeczytał. Nie pamiętam już tego paragrafu dosłownie, ale treść jego w pamięci zachowałem. Był on poświęcony rozwinięciu hipotezy lub teorii następującej:

„... Barwa materii organicznej - utrzymywał uczony autor - jest zawisłą od obecności w krwi, włóknach, kościach, nerwach itd. pewnych pigmentów zawierających pierwiastek żelaza, a zmieniających kolor według stale określonych warunków chemiczno-fizjologicznej natury. Melanin, zabarwiający tak retynę ** i źrenicę oka, jak też włosy, mógłby być zmniejszony lub pomnożony według praw niedawno przez profesora Scharfli w Bazylei odkrytych. Dodanie hematynu do krwi ożywiłoby purpurową barwę każdego włókna. Wielka obfitość melaninu w pigmentcie skórnym robi jednego człowieka czarnym Murzynem, a jego brak zmienia innego w albinosa. Włókna ciała ludzkiego są pierwotnie bezbarwne i przejrzyste na kształt wody, a stają się widzialnymi i zabarwionymi skutkiem domieszki pigmentów rozmaitych. Żal mi - kończył autor - że skutkiem nagłej, nieodżałowanej śmierci doktora i profesora Discoloris z Freiburgu nie ostały się żadne sprawozdania z bardzo ciekawych doświadczeń, jakie on z zadziwiającym powodzeniem rzekomo na organizmie ludzkim wykonał w celu

* „Handbuch der Gewebelehre” bei... (niem.) - Podręcznik histologii (napisany) przez...

** retina (włos.) - siatkówka.

pozbawienia go barwy wszelkiej za pomocą chemicznych środków!...”

Gdy skończyłem czytać, niewidomy towarzysz znów przemówił:

- Ja to byłem przez lat kilkanaście przyjacielem i asystentem nieodżałowanego profesora Discoloris, o którym mowa w tej książce. Ja mu dostarczałem pieniędzy na jego eksperymenty, jak mój śp. ojciec, który także z nim ściśle utrzymywał stosunki. Prawie cała nasza fortuna poszła na kosztowną pracę ćwierćwieczną, wytrwałą, odbywającą się pod jego mądrym kierunkiem. Niewiele brakowało, iżby bank Bnina mnie zlicytował, nie płaciłem bowiem rat, ale na doświadczenia naukowe nie żałowałem. Od czasu katastrofy, jaka mnie spotkała, zaczynają się moje interesy poprawiać.

- Ej, wolałbym słyszeć o tej katastrofie niż o twoich interesach...

- Chwilkę cierpliwości. Autor dzieła przed nami tylko się cząstki eksperymentów moimi pieniędzmi i na mej osobie przez uczonego freiburczyka skutecznie przeprowadzonych domyśla. Gdyby można całą ich tajemnicę objawić, świat uczony i nieuczony osłupiałby z zadziwienia. Cóż, kiedy właśnie, gdyśmy do rezultatów cudownych doszli, mentor mój umarł nagle rok temu, przeszłego lata...

Znów milczenie.

- Pokładałem ślepą wiarę w geniusz tego wielkiego myśliciela - westchnął w końcu Zbigniew - a gdyby mi był równą ufnością odpłacił, nie doznawałbym teraz mego okrutnego losu. Ludzie naukowcy są jednak skryci. On posuwał tę skrytość do ostatecznych granic. Nie wyjawiał mi nigdy żadnego ze swych sekretów, które na mnie doświadczał. Poddawałem mu się ze ślepym posłuszeństwem wielbiącego ucznia. Gorzko też za to zaślepienie pokutuję, obłożon straszniejszą klątwą od piętna na czole Kaina wyrzytego! Całe to nieszczęście tak się zaczęło... Ojciec nieboszczyk, a potem ja sam pomagaliśmy profesorowi w początkowych eksperymentach nad pigmentami, czyli barwnikami, w ludzkim organizmie. Mieszając z pokarmem pewne dozy chemiczne był on w stanie zrobić bruneta blondynem i odwrotnie. Nie wymyśliłbyś koloru, którego by na zawołanie skóry ludzkiej nie umiał udzielić. Eksperymentował najczęściej na mnie. Raz, ku wielkiemu zadowoleniu ojca nieboszczyka, robił mnie pąsowym, drugi raz żółtym lub fioletowym, a czasem otaczał mnie wszystkimi barwami tęczy. Potem przywracał mi dziecienną, naturalną świeżość cery.

- Czy być może! - zawołałem.

- Spytaj się jedyne żyjącego świadka tych prób, starego służącego mego mentora i mojego... co mówię? sługi? raczej mego opiekuna, przyjaciela, dobroczyńcy!

Niewidzialny kuzyn zadzwonił. Z laboratorium w przyległym pokoju wyszedł staruszek w aksamitnej czapeczce do jarmułka podobnej i w liberii. Zbliżywszy się do próżnego pozornie szeszlona stary sługa zdjął swą czapeczkę pokornie i schylił przed panem niewidzialnym łysą głowę. Skóra jego łysiny miała barwę zieloną, a nieliczne pozostałe włosy były żółte na kształt gumiguty *. Wyraziłem moje zdziwienie.

- Nakryj głowę, mój dobry Hansie - rzecze pryncypał po niemiecku. - Chciałbym tylko pokazać temu panu jeden ze skutków naszych eksperymentów u profesora Discolorisa. Możesz odejść.

Drzwi zamknęły się za służącym.

- Ten Hans pomagał nam w laboratorium freiburskim i jest bardzo dumny z dowodów pracy naukowej na jego łysinie zakonserwowanych. Na niej to odbyła się pierwsza próba praktyczna teorii przez wynalazcę odkrytej, a Hans był z niej do tego stopnia zadowolony, że nigdy nie pozwolił swojej łysinie i włosom naturalnej przywrócić barwy. Pocziwy, złoty człowiek! On jest jedynym pośrednikiem między mną niewidzialnym a światem widowym. Przezeń administruję majątek, wynajmuję mieszkania, których w opinii ludzkiej on się jedynym lokatorem zdaje. On mi jeść przynosi. Nie wiem, co bym zrobił bez niego, bo skutkiem

* gumiguta - stwardniały sok żywiczny niektórych drzew tropikalnych zawierających smołę, żywicę i żółty barwnik.

długiego przyzwyczajenia instynktowo zgaduje, gdzie stoję, czego mi potrzeba, czym by mi mógł usłużyć. Zapalże drugie cygaro i posłuchaj końca mojej fatalnej przygody.

Ugruntowałem się głębiej w fotelu, a on prawil puszczając zarazem widome kłęby dymu z ust niewidzialnych.

- Wielki chemik dopuszczał się na mnie coraz większych eksperymentów, które śmierć mego ojca tylko na krótko przerwała, bo ja sam żywą ochotę do nich okazywałem. Drugą krótką przerwę doznała nasza praca później z powodu mej włoskiej wycieczki ze stryjaskiem i Prozią... - Tu westchnął... - Pojechałem z nimi dla poratowania zdrowia, pracą i licznymi trudy w laboratorium nadwątłego. Sam mentor w drogę mnie wyprawił, żal mu mnie było stracić. Bodajbym nigdy nie był widział Prozi...

- Albo nigdy do Freiburga nie powrócił!

- Powróciłem jednak i stałem się przedmiotem nowego szeregu doświadczeń, w których już nie o przemianę barw przyrodzonych, ale o pozbawienie mnie wszelkiej barwy chodziło. Nie opuszczałem laboratorium miesiącami. Nie widywałem nikogo, tylko profesora i Hansa. Wynalazca postępował sobie bardzo ostrożnie, obserwując skutki każdej nowej próby chromatycznej i zachowując w każdym wypadku odwrot. Wracał mi zawsze odebrane przymioty fizyczne z łatwością. Ośmielony jego powodzeniem, ufałem mu ślepo... Pod wpływem potężnych preparatów wprowadzonych w mój organizm stałem się blady, biały, bezbarwny jak albinos, ale nie cierpiałem na zdrowiu. Moje włosy i broda wyglądały na kształt przedziwa szklanego, a moja skóra na kształt alabastru. Profesor był zadowolony wielce z tej próby, przywrócił mi kolor ludzki i przerwał na czas krótki swe doświadczenia. Odpoczywałem, a w jego głowie dojrzewiała stwierdzona później hipoteza, że można by zrobić człowieka nie tylko bezbarwnym, ale też przezroczystym i niewidzialnym, na kształt galaretowatych wymoczków pływających milionami w kropelce wody.

Zbigniewa głos drżał od wzruszenia. Czuję, że kuzyn wstał i przeszedł się po salonie dla uspokojenia swej agitacji *. Potem znów musiał usiąść, bo szezlong się ugiął, a głos przemówił z dawnego miejsca...

- W rozpoczętej drugiej serii doświadczeń raczył mnie uczony chemik coraz silniejszymi dozami preparatów działających stopniowo na chromatyczne przymioty mego organizmu, ale zdrowia mego nie nadwerężających. Wszyscy Opalińscy okazują skłonność do otyłości, poczynając od młodego wieku. Ta skłonność objawiła się także we mnie, musiałem więc być zdrów i czerstwy pomimo kilkuletniej mozolnej pracy naukowej. Nie myśl bowiem, kuzynku, jakoby doświadczenia profesora na mojej osobie odbywały się błyskawicznym lotem. Często potrzeba było kwartału i dłużej, nim po rozmaitych próbach udało się odkryć właśnie ów pierwiastek, którego wprowadzenie w krew jej optyczne własności zmieniało, a drugi kwartał mijał na szukaniu akuratannej miary i wagi, w jakiej ten preparat powinien być stosowany. Każdego pięknego dnia musiałem leżeć na słońcu i być polewanym wodą destylowaną, obracany na wszystkie boki, jak sztuka płótna na bieleniu!

W końcu stałem się, jak figura porcelanowa, wółprzejrzysty, a jeśli Hans lampę za mną postawił, jej rumiane światło przebijało na wskroś moją osobę. Profesor znów przerwał swoje próby i puścił mnie na wakacje dla zdrowia. Przez czas mej nieobecności uczony ten zastanawiał się nad udoskonaleniem swej teorii, ja zaś, rumiany i człowieczy, odwiedziłem wtedy stryja i zakochałem się w Prozi, anielskiej, niebiańskiej, zawsze dobrej dla mnie... Ta miłość...

Zrobiłem gest niecierpliwy, rozgorączkowany bowiem powieścią o cudownej metodzie uczonego freiburczyka, nie miałem ochoty słuchać banalnych wyznań miłości. Zbigniew powód mej niecierpliwości zrozumiał. Przeszedł więc do rzeczy najważniejszej.

- Powróciwszy jeszcze raz do Freiburga, prędko odzyskałem porcelanową przezroczy-

* agitacja, *agitato* (włos.) - wzburzony.

stość, a powoli posunąłem się o jeden stopień wyżej. Jeżeli kiedy widział galaretowate mięczaki w morzu, których wyraźne kontury oko z trudnością od wody rozróżnia, to zdołasz sobie wyobrazić moje ciało w tej przezroczystej fazie przemian, które przebyłem. Nie wyszedłem rok cały z laboratorium, a Hans, który mi usługiwał, nie mógł mnie znaleźć o szarej godzinie, jeśli się doń nie odezwałem.

- A twoje suknie? - zapytałem niedowierzająco - wszak musiały tworzyć dziwną sprzeczność z twoją istotą?

- Bynajmniej. Gruntowny Niemiec i o sukniach pomyślał. Widok odzieży spacerującej po pokoju bez człowieka i wydętej jak pęcherz próżny zepsułby piękny efekt i wartość jego wynalazku, a więc wymyślił środki i sposoby udzielenia tym sukniom przezroczystości niewidzialnej. Trwało to bardzo długo, nim swego dokazał. Każdą materię trzeba było inaczej traktować. Wełna sukien, bawełna i len bielizny, skóra trzewików, jedwab i kruszce nawet na mojej osobie przebyły kolejno rozmaite doświadczenia chemiczne, z których wyszły niewidzialne. Miałem piękną, obfitą garderobę, a szczęściem dla mnie erudyta całą prawie przerobił do stanu odpowiedniej mojej własnej przejrzystości! Mam więc w czym teraz chodzić... Pomyśl tylko, jak bym wyglądał, gdybym musiał nosić takie same suknie jak każdy innych człowiek? Mógłbym światu się pokazać? Wyobraź sobie ohydny widok chodzącego surduta i kapelusza bez twarzy i bez ręki? Dobrze jeszcze o tyle, że nie zwracam uwagi ludzkiej, ale tylko Wszewiedzącemu wiadomo, jak sobie poradzę po zniszczeniu terazniejszej garderoby i śmierci staruszka Hansa? O, biedna moja głowo!...

Zbigniew jęknął i musiał załamać ręce, bo coś trzeszczało na kształt stawów ludzkich...

- Teraz zaszyły długie wakacje w naszej pracy - począł po chwili kuzyn nieszczęśliwy. - Arcyzaniedbane interesy, lekceważone przez ojca, a coraz fatalniej skutkiem mych fizjologicznych i przyrodniczych zajęć powikłane, powołały mnie do kraju. Odwiedziłem rodzinny majątek, mówiłem z adwokatami i wierzycielami i notariuszami, wziąłem pożyczkę, sprzedałem las, jak stał, a była śliczna dębowa rezerwa w Bninie, za którą Żydzi dali dwieście pięćdziesiąt reńskich za mórg, bez targu! Pobrałem za propinację * i młyny z góry za lat sześć, sprzedałem wieś oddzieloną od reszty majątku, na Pobereżu - słowem, powstrzymałem ruinę na czas jakiś. Rozumie się, że odwiedziłem i stryja w Opalach. Prozia wydała mi się ach! cudną. Skończyła właśnie lat dwadzieścia, ja miałem dwadzieścia osiem. Podczas karnawału znów ją spotkałem we Lwowie i byłem już gotów życie na jej skinienie u stopek jej położyć. W czerwcu znów do Opalów pojechałem, gdzie już cały czas mogłem być przy niej. Miłość moja nie znała granic. Gdy Prozia zażądała, żebym się rzucił w środek wielkiego stawu nad młynem amerykańskim stryjaszka dobrodzieja, byłbym skoczył bez wahania, choć nic a nic pływać nie umiem. Coś mi szeptało, że Prozia lubiła moje towarzystwo. Cicha, skromna, lękliwa, nie umiała przecież utaić, że uczucia moje nie są jej wstrętne. Kokietowała mnie po trochu. Szalałem! Raz w czerwcowy wieczór na ganku, kiedy stryjaszek zdrzemał się z cybuchem w rękę, rozmarzony atmosferą wonną i jej oczyma magnetycznymi szepnąłem, że ją kocham. Nie odpowiedziała, ale mnie też nie odtrąciła. Sięgnąłem po jej rączkę. Cofnęła ją i zapłonią kazała mi mówić... z papą...

Dowiedziawszy się o moim afekcie stryjaszek wyrecytował mi paternoster i wystąpił z przemową ostrej krytyki, utyskiwań i morałów. Dowiódł mi, że zrujnowałem majątek i że nie jestem godzien ręki jego córki. O moich naukowych „fanaberiach” wyrażał się z jak najwyższym oburzeniem i lekceważeniem. Upewniał, że byłby mi mógł wybaczyć, gdybym jak inne szlacheckie dziecko Bnin przegrał, przehulał, przewożował lub przegospodarował, ale stracić porządny, intratny klucz polski na jakichś tam zagranicznych wydrwigroszów i wariatów...

* propinacja - sprzedaż napojów alkoholowych, szynk, karczma.

- Słowo honoru daję – zawołał - że nie pojmuję, skąd się podobne indywidua jak brat nieboszczyk i waść z familii Opalińskich mogły narodzić. Miał się urodzić obywatel, kur zapiał i...

- Stryjaszku drogi, najdalej za rok będę bogatym i sławnym!

- Koszałki opałki!

- Jak stryja kocham!

- Dobrze, dobrze. Przyjedźże za rok albo dwa i pokaż czystą tabulę *. Tymczasem żadnych głupstw. Ani słówka do Prozi o niedowarzonych sentymentach, jeżeli chcesz zostawać miłym gościem w Opałach. Czy asan sobie myślisz, że oddam jedynaczkę i majątek, żebyś z profesorami szaleńcami eksperymentował?

Wracalem do Freiburga spoważniały. Już mi nie tylko o szczęśliwe dokończenie ciekawej pracy naukowej chodziło, ale także o wyzyskanie piędźni wynalazku, dla którego tyle ofiar poniosłem. Jeżeliby doświadczenia mego mentora pożądanym skutkiem zostały uwieńczone, wdzięczny świat oddałby miliony do naszej dyspozycji, a wtedy...

W kilka tygodni po ostatecznym zamknięciu moim w laboratorium otaczały mnie pełnego popołudnia pogodnego i jasnego cztery osoby. Właściciel pracowni stał tuż przy mnie z dumnym uśmiechem na twarzy, obcierając swoim zwyczajem świecąca łysinę nie bardzo czystą kraciatą chustką, Hans płukał retorty w szafliczku w kącie. Dwóch panów profesorów fizyki i chemii, zaproszonych pod jakimś pretekstem i nie podejrzewając mojej obecności w pracowni, ocierało się prawie o mnie. Musiałem uważać, żeby mnie który nie dotknął podczas żywszej gestykulacji. Gdyby byli nadśluhiwali, mogliby byli usłyszeć bicie mego serca wzruszonego pychą i radością. Mówiąc o tym i owym jeden zapytał przypadkiem:

- Co też się stało z tym polskim grafem, który panu pomagał? Czy jeszcze nie powrócił?

Wielki chemik wydał się jak zaba i poczerwieniał jak piwonia z uciechy, a jego okrągła głowa kiwała się na krótkiej szyi w sposób zabawny. Jego tryumf był zupełny! Wynalazek przebył i wytrzymał ogniową próbę... Byłem niewidzialny!

Skoro uczeni koledzy odeszli, profesor porwał mnie za obie niewidzialne ręce i ciągnąc mnie za sobą skakał jak wariat po laboratorium tłukąc butelki i retorty.

- Kochany mój, zacny uczniu! - wołał. - Dzień jutrzejszy uwieńczy sławą nasze mozolne, długie, kosztowne, święte, że tak powiem, zapobiegi, twoją cierpliwość, posty, katusze. Jutro staniesz przed całym, do wielkiej sali zaproszonym fakultetem wszechnicy. Telegrafo-wałem do Wiednia, Berlina, Bonn, Dorpatu, Paryża, Londynu, słowem, na wszystkie strony. Przyjadą Schröter, Haeckel, Steinmetz, Lavelle, delegaci Sorbony, Huntey, Tyndall, Lubbock, sam nasz prorok Darwin! Będziemy mieli również filozofów. Pisałem też do kilku twoich rodaków przyrodników, żeby od ryb i grzybów, i studiów botanicznych na ważniejszą sprawę uwagę swą zwrócili. Przed tymi najcelniejszymi mędrkami i przyrodnikami naszej epoki objawię sekret mój, tobie nawet nie znany. Przedstawię cię nicością, powietrzem, głosem, a potem przemienię w człowieka z naturalnego ciała. Połowa sławy mojej, połowa zysku z patentów, jakie sobie we wszystkich krajach ucywilizowanych zabezpieczymy, będzie należała do ciebie. Myślisz o dziewicy, do której ten nieuk, jej nielitościwy ojciec zbliżyć ci się nie pozwala? Smutno ci? Rozwesel się, synu mego ducha! bo wkrótce pojedziesz do niej rumiany, świeży, sławny, wzbogacony, zabarwiony najpiękniejszymi pigmentami z mego laboratorium, z wawrzynem na skroni, uwitym przez wdzięcznych czcicieli wiedzy. Dobranoc! Śnij o jutrzejszym triumfie!

Zostawił mnie w laboratorium, gdzie sypiałem w pokoju oddzielnym na kanapie.

Nazajutrz raniutko, pamiętnego dnia 1 sierpnia, zbudził mnie wpadający gwałtownie Hans:

- Panie hrabio, panie hrabio! - wołał głosem łkającym, zadyszany, pełnym grozy i

* tabula - w dawnej Galicji: hipoteka (zabezpieczenie roszczeń piędźniowych - zwłaszcza pożyczek na nieruchomości).

smutku - doktor umarł pewnie z wielkiej radości, na apopleksję!...

- Czy słyszysz? - wołał Zbigniew rozpaczliwie. - Doktor Discoloris uczyniwszy mnie niewidzialnym umarł... A ja, ja...

Zbigniew skończył swoje zajmujące opowiadanie.

Siedziałem z otwartymi ustami, próbując zebrać myśli. Cóż mogłem mu odpowiedzieć. Jak pocieszyć tę nieszczęśliwą ofiarę losu?

Niewidzialny kuzyn łkał rozpaczliwie.

- Straszne to moje położenie, okropne, przeklęte! - jęczał. - Doktor wziął z sobą do grobu tajemnicę przywrócenia mi przymiotów chromatycznych, zwykle przynależnych żywej ludzkiej materii. Zostawił mnie niewidzialnym, a odtąd, choć się nie dopuściłem żadnej zbrodni ani przeciw Stwórcy, ani przeciw bliźnim, jestem przecież nieszczęśliwszym od potępieńców w piekle! Muszę chodzić po ziemi żyjąc, czując, widząc, kochając jak inni ludzie, a między mną a światem wznosi się nieprzebyta zaporą. Jestem dosłownie na świecie, a nie dla świata. Nawet duchy i upiory mają formy swoje. Mnie odebrano barwę, która kształt pokazuje. Życie moje jest śmiercią chodzącą, moje istnienie zapomnieniem. Żaden krewny lub przyjaciel nie może spojrzeć na mą zboląłą twarz. Gdybym przycisnął do serca kobietę ukochaną, zemdłaby od niewymownej grozy... Stryj myśli, że z rozpachy schowałem się w tajemnym warsztacie chemicznym i że do szczeru ojcowiznę rujnuję, a ja, miłością trawiony i pozbawiony panowania nad sobą, krążę naokoło nich jak planeta przy słońcu. Nie mogę się powstrzymać, żeby ich nie ścigać po świecie. Zatruwam im życie zjawiskami, które on szatańskiej złości przypisuje, ona zaś ogląda się wylękła i zdumiona, przeczuwając ich związek ze mną. Widuję ją co dzień... Nieraz ocieram się na schodach o jedwabne falbany jej sukni. Nie wiem, co począć, jak się z nią porozumieć, by nieostrożnym nie zabić jej słowem. Ona taka wåtła, drażliwa. Dlatego też właśnie zaprosiłem ciebie do tego pokoju. Kuzynie, pomóż mi, ratuj mnie!

Wzruszony, wyrwałem się zaraz z lekkomyślną uwagą. Był to największy błąd, jakiego się przez brak rozważli w życiu dopuściłem.

- Nie rozpaczaj! - rzekłem. - Prozerpina kocha ciebie niezawodnie...

Stolik między nami wywrócił się nagle. Zbigniew musiał skoczyć na równe nogi ze wzruszenia. Czulem jego ręce na moich ramionach, gdy stał i słuchał:

- Tak - mówiłem dalej. - Prozia kochała cię niezawodnie, a taka miłość jak jej nie złąknie się żadnych wypadków, nie cofnie się przed żadną trudnością... Prawda, że tajemnica wynalazku twego mentora z nim razem poszła do grobu, ale czemużby jej powtórnie nie odkryć drogą doświadczeń indukcji *ab initio* *, z pomocą twojej praktyki jak też wiadomości, jakie Hans w długiej swej służbie nabyć musiał? Nie może być, iżby nie zauważył, jakich pierwiastków profesor najczęściej używał. Nie trać odwagi! Jeśli Prozerpina ciebie kocha, to i przeczeka cierpliwie kilka lat do wtórnego odkrycia tajemnicy.

- Tak, jeśli mnie kocha! - jęknął głosem tak bolesnym, jakiego z pewnością nie wydał żaden torturowany.

- O tym się łatwo pojutrze dowiemy.

I opowiedziałem mu, jak, kiedy i dlaczego mam z kuzynką w cztery oczy mówić. Omówiwszy z nim plan przyszłego postępowania, pożegnałem biedaka. Ulice były już opustoszone, a na zegarach biła piąta rano, gdy zadzwoniłem do bramy hotelu „Zur Stadt Triest”.

Doczekałem cierpliwie popołudniowego umówionego spotkania z kuzynką. Wytłuma- czyłem jej położenie Zbigniewa w kilku treściowych zdaniach. Wytrzymała tę próbę ogniową z heroizmem. Ani nie zemdłła, ani nie wpadła w paroksyzm histeryczny, lecz wymówiła

* *ab initio* (łac.) - od początku.

krótko jedno słowo:

- Chodźmy!

Na schodach dodała z wymuszonym uśmiechem, którego powodu wtedy nie rozumiałem:

- Idę z poczucia obowiązku dla ojca, którego ostatnie lata osładzać muszę.

Piękna, dumna hrabianka weszła przede mną do pokoju Zbigniewa z tymże uśmiechem, co do jej twarzy przystygł na schodach, ze swobodną gracją pięknej damy wstępującej do balowej sali... Nie straciła kontenansu ani na chwilę. Nie okazała ni trwogi, ni zadziwienia, kiedy ręka niewidzialna jej białą łapkę do ust podniosła, aby ją oblać powodzią czułych, głośnych pocałunków. Tupiąc tylko cokolwiek niecierpliwie nóżką o taboret, który przysunąłem do niej, skoro na fotelu usiadła, wysłuchując bez słowa odpowiedzi długiego, wymownego opisu cierpienia Zbigniewa i wyznania jego miłości, i wyliczenie środków i sposobów, jakimi się własny kształt i barwę ludzką odzyskać spodziewał. Uśmiech uprzejmy nie znikł na chwilę z jej twarzy.

Hrabianka cofnęła w końcu rękę z uścisku niewidzialnego kuzyna, który umilkł...

Potem odezwała się chłodno:

- Jak na człowieka, który całe życie przy księgach i narzędziach naukowych strawił, jesteś dziwnie wymownym idealistą.

- Proziu! nie rozumiem twojej obojętności, ironii...

- Przyznam dalej - mówiła, nie znosząc przerwy - że nieszczęśliwa twoja pozycja godna jest współczucia. Nie nadużywaj wszakże przywilejów twojej niewidzialności. Jeśli żywisz choć cząstkę uczuć, które tak namiętnie wyznajesz, jeżeli czcisz imię historyczne i dobrą sławę naszej rodziny, jeśli szanujesz stryja, który zawsze był tak dobrym dla ciebie, jeśli, w końcu, życzysz sobie widzieć mnie szczęśliwą, a jego życia nie skrócić... wyjedź zaraz z Wiednia i nigdy nas już nie dręcz, przynajmniej... przynajmniej... póki nie odkryjesz tajemnicy nieboszczyka doktora...

Oślupiałem! Więc ta kobieta, której pozory nieukojonego smutku za straconym kuzynem kilka miesięcy mnie zwodziły, odgrywała tylko komedię? Więc chodziło jej tylko o to, żeby się pozbyć mary nieznośnej? Czy być może, żeby nigdy nie kochała Zbigniewa, ale jako kokietka wierutnie wcześniej się na kuzynku do trudniejszych zaprawiała podbojów? Tak przynajmniej wyglądało. Ach, gusta kobiet są niedociekłe, a nawet doktor Discoloris z całą swą erudycją nie byłby mógł podać przyczyn, z których lęgną się kaprysy ładnej wielkiej damy...

- Prozerpino! - zawołał Zbigniew czule. - Co to znaczy? Dlaczego jesteś tak okrutną? Czy nie masz nic więcej do powiedzenia? Nie zostawisz mi żadnej nadziei?

- Będę cię zawsze poważała. A, jeszcze jedna rzecz! Przrzecz mi, że jeżelibyś trafem szczęśliwym odkrył tajemnicę mądrego wynalazcy i chciał z niej korzystać materialnie, to przez uszanowanie dla stryja i pamięć o mnie będziesz o tyle dobry i oględny, że się pokazywać ludziom będziesz tylko pod pseudonimem. Prawda, że Bnin, jak to mówią, mocno zaszargany i nie wolno wymagać od ciebie, abyś go nie oczyścił mając taki skarb w rękę, ale pomyśl sobie tylko, jak by sąsiedztwo wiadomość przyjęło, iż jeden z Opalińskich, czarownik jakiś, pokazuje się po Paryżach za pieniądze, na podobieństwo skoczków i magików? *Fi donc!* * Przrzekasz mi, dobry mój kuzynku, obrać sobie pseudonim?

- Twoje serce twarde jak kamień! - przerwałem patetycznie, nie mogąc wstrzymać się dłużej - nie jesteś godna miłości tego męczennika wiedzy.

Prozia wzruszyła ramionami. Zbigniew jęczał tak głośno i żałośnie, że wierny jego służący wpadł do pokoju. Wiedziony nieomylnym instynktem, starzec prędko znalazł niewidzialnego pana i wyrwał z niewidzialnej ręki widomy rewolwer, który Zbigniew przyłożył do

* *fi donc!* (fr.) - A fe!

skroni niewidzialnej w napadzie rozpaczy i szału... Rewolwer upadł na podłogę. Starzec pchnięty gwałtownie, także się obalił, ale powstał prędko, zatrzymał się chwilę na miejscu z ręką zwiniętą w trąbkę i przyłożoną do ucha. Stojąc blady, z źrenicą rozdętą, a twarz boleśnie wykrzywioną, chwycił wytępiionym słuchem szelest dla niego tylko zrozumiały. Zorientował się prędko i wyleciał z pokoju przez drzwi od korytarza, co się przed chwilą same otworzyły. Pobiegnęłam za nim. Stare jego nogi okazały się szybszymi i wytrwalszymi od moich! Miałem go na oku wzdłuż kilku ulic i przez cały Ring, lecz nagle zginął w tłumie na Kärntner Strasse.

W kilka miesięcy później Bnin sprzedany został przez plenipotentą Zbigniewa.

Po zapłaceniu długów nie mogło wiele zostać z krociowej sumy. Co się ostatecznie z tą pozostałością stało, nikomu nie wiadomo. Adwokat odesłał pieniądze za granicę do wskazanego bankiera, który je znów sumiennie wypłacił starcowi w aksamitnej czapce na czek przez młodszego hr. Opalińskiego podpisany. O dalszych losach niewidzialnego człowieka nie słyszał już nikt więcej...

Donoszą mi, że Prozia wychodzi za jakieś księżątko zagraniczne.